

Sławomir Tomasz Roch
rycerzniebieski@wp.pl

„[...] W swoich wspomnieniach z pracy na Wołyniu krótko opisał owo tragiczne wydarzenie: „W jakimś dniu po Bożym Ciele ujrzelśmy nad Dermanką lunę. Nieliczni, którym udało się ujsć, opowiadali: we wiosce zjawiał się oddział z czerwonymi kokardami. Kazał ludziom iść do pracy i obiecał bronić przed Banderą. Potem pomordowali spokojnie pracujących w polu. Wioskę i plebanię spalili, a kościół rozebrali i znaleźli wszystkie schowane rzeczy. Była to po Karasinie i Bystrzycy trzecia moja stracona placówka. Ile ich jeszcze przede mną? Teraz okazało się opatrnościowym, żeśmy odnowili kościół w Horodnicy. Zaczęli się w nim gromadzić obok wiernych miejscowych także niedobitki z podpalonych wiosek”. Niedługo jednak mogli się Polacy czuć bezpieczni w Horodnicy, gdyż i tam zaczęły dziać się okropności. Wszędzie palono domostwa i mordowano „Lachiw”. O. Serafin wraz z grupą swoich wiernych opuścił Horodnicę i powędrował dalej na wschód za dawny kordon graniczny. [...] O. Hieronim Warachim, Apostoł Kościoła Milczenia O. Serafin Kaszuba.

SÓL ŚW. AGATY I SÓL ZIEMI WOŁYŃSKIEJ

Już w najbliższą środę 05 lutego Kościół obchodzi wspomnienie św. Agaty, panny i męczennicy. W polskiej tradycji ludowej w tym dniu święci się sól, chleb i wodę, ale przede wszystkim sól św. Agaty, która ma chronić ludzkie dusze i ciała przed wszelkim upadkiem i zepsuciem moralnym. W dawnych wiekach istniało także przekonanie, że akcesoria te, a zwłaszcza sól, wrzucone do ognia tłumią go i powodują, że przestaje się rozprzestrzeniać. Wspomnienie o tym, niegdyś powszechnym, zwyczaju zachowało się między innymi w ludowych przysłowiach: „Gdzie święta Agata, Bezpieczna tam chata.”, czy też inne: „Sól świętej Agaty, Strzeże od ognia chaty.”.

Tradycja mówi, że pochodziła z miasta Katania na Sycylii, ze znamienitego rodu rzymskiego, i odznaczała się nieprzeciętną urodą. Żyła prawdopodobnie w latach 235-251, za panowania cesarza Decjusza (249-251), kiedy to miały miejsce jedne z najbardziej krwawych w historii rzymskiego imperium prześladowania chrześcijan. O jej życiu i męczeństwie opowiadają liczne apokryfy i hagiograficzne legendy, znane na naszym kontynencie już od wczesnego średniowiecza - św. Agata po przyjęciu wiary chrześcijańskiej złożyła ślub czystości i dlatego odrzuciła rękę prefekta Katanii Kwincjusza - który mszcząc osobistą zniewagę - kazał ją, jako chrześcijankę, uwięzić. Kiedy nie pomogły przekonywania i groźby, znalazła się z jego rozkazu w domu rozpusty, gdzie w cudowny sposób zachowała dziewictwo. W końcu po okrutnych torturach spalono ją na rozżarzonych węglach. **W ikonografii przedstawiano św. Agatę z kleszczami, którymi ją szarpano, odciętymi podczas męczeństwa piersiami złożonymi na misie oraz z płonąca świecą w ręku - symbolem Chrystusa.**

Doczesne szczątki Świętej spoczywają w Katanii, które to miasto, jak chce tradycja, dzięki jej orędownictwu ocalało w czasie wybuchu Etny. Gdy obudził się groźny wulkan grożąc zniszczeniem całej okolicy, jak pisze w Żywotach Świętych ksiądz Piotr Skarga „[...] a kamienie wielkie jako kule ogniste wypadały, na ulice wyszła procesja niosąc welon wydobyty z grobu św. Agaty, i wtedy potok wulkanicznej lawy zatrzymał się przed murami miasta.”. Od tej pory w Katanii co roku w dniu swojej patronki mieszkańcy uczestniczą w uroczystej procesji, podczas której ulicami miasta obwożony jest relikwiarz Świętej. Od wieków czczono ją też jako patronkę zawodów mających kontakt z ogniem: giserów, kominiarzy, ludwisarzy, odlewników, a także jako orędowniczkę w chorobach piersi i opiekunkę karmiących matek. Uważano ją również za współzycielkę w czasie pożarów, zwłaszcza spowodowanych przez uderzenie pioruna.

Tytułem świadectwa powiem, że od wielu już lat, każdego roku, wcześniej na ojczyźnie, a teraz i na szkockiej ziemi, biegnę z pakunkiem soli do kościoła i proszę

uprzejmie kapłana, właśnie o błogosławieństwo soli św. Agaty. Czynie to zwykle już po mszy świętej, a mam tej soli zwykle tyle, że wystarcza mi spokojnie na cały rok, a jeszcze hojnie mogę się podzielić z innymi. Tu w Glasgow obrzęd ten jest zwyczajnie nieznan i zwykle budzi zdziwienie, ale to wcale mi nie przeszkadza, gdy w kilka minut później wracam do domu obładowany solą św. Agaty. Jestem wtedy taki szczęśliwy, a przy tym dumny z siebie, jak królewski paw.

APOSTOŁ KOŚCIOŁA MILCZENIA

Kiedy w czerwcu 1941 roku rozpoczęła się wojna Niemiec ze Związkiem Radzieckim, a wojska III Rzeszy zajęły Wołyń, dla polskiej ludności na Wołyniu nastąpiły szczególnie ciężkie czasy. Konflikt polsko-ukraiński wybuchł ze wzmożoną siłą. Nacjonalizm doprowadził do barbarzyńskich mordów i palenia wsi. Właśnie Karasin, w którym przed kilkoma miesiącami osiadł o. Serafin Kaszuba, w sierpniu 1941 roku padł ofiarą niewyobrażalnego okrucieństwa. Od Karasina rozpoczęły się krwawe „czerwone noce” nad Wołyniem. Z różnym natężeniem, aż do wiosny 1944 roku, płonęły na Wołyniu polskie chaty, przelewała się niewinna krew. Z powierzchni ziemi znikło wiele polskich wsi, wyginęły zupełnie niektóre rodziny. Nad żyjącymi zawisła groźba barbarzyństwa, rozpoczęła się bieda. Tę ciężką dolę społeczeństwa dzielił młody kapłan-zakonnik o. Serafin.

Po spaleniu Karasina, wraz z ocalałą resztką parafian, schronił się we wsi Bystrzyca, gdzie urządził kaplicę. W parę miesięcy potem, gdy Bystrzyca została spalona, powędrował dalej. Osiadł w pozbawionej kapłana parafii Dermanka. Czysto polska, dobrze zorganizowana wieś, cieszyła się chwilowym spokojem. O. Serafin rozwinął ożywioną działalność duszpasterską i katechetyczną. Szybko więc zyskał szacunek oraz poważanie wśród wiernych, których budował swoją pobożnością i gorliwością kapłańską. Mając mocne oparcie wśród miejscowej ludności, przy współpracy z wiernymi, organizował duszpasterskie wyjazdy poza polską granicę z 1939 roku. Odwiedzał polskie, katolickie rodziny, które od czasu rewolucji pozbawione były duszpasterskiej opieki. Dzięki jego staraniom odzyskano i odnowiono w miejscowości Horodnica kościół, który stał się mocnym ośrodkiem życia religijnego dla wielu Polaków z najdalszych nawet okolic. Tam odbudowywał życie religijne rodaków, odprawiając Msze św. i udzielając sakramentów. Praca była trudna i niebezpieczna, gdyż krwawe hordy, coraz częściej zapuszczały swoje żądne krwi zagony na polskie wsie i osiedla. Opatrzność Boża czuwała jednak nad o. Serafinem. Wielokrotnie, dosłownie w cudowny sposób, uchodził z rąk barbarzyńców, przeżywając wraz z umęczonymi rodakami wołyńskie „czerwone noce”. W czerwcu 1943 roku, podstępnie napadając, spalono Dermankę, a ludność niemal zupełnie wycięto w pień. O. Serafin kolejny raz uszedł szczęśliwie z życiem, gdyż w dniu napadu przebywał w Horodnicy. W swoich wspomnieniach z pracy na Wołyniu krótko opisał owo tragiczne wydarzenie:

„W jakimś dniu po Bożym Ciele ujrzeliśmy nad Dermanką łunę. Nieliczni, którym udało się uciec, opowiadali: we wiosce zjawiał się oddział z czerwonymi kokardami. Kazał ludziom iść do pracy i obiecał bronić przed Banderą. Potem pomordowali spokojnie pracujących w polu. Wioskę i plebanię spalili, a kościół rozebrali i znaleźli wszystkie schowane rzeczy. Była to po Karasinie i Bystrzycy trzecia moja stracona placówka. Ile ich jeszcze przede mną? Teraz okazało się opatrznościowym, żeśmy odnowili kościół w Horodnicy. Zaczęli się w nim gromadzić obok wiernych miejscowych także niedobitki z podpalonych wiosek”.

Niedługo jednak mogli się Polacy czuć bezpieczni w Horodnicy, gdyż i tam zaczęły dziać się okropności. Wszędzie palono domostwa i mordowano „Lachów”. O.

Serafin wraz z grupą swoich wiernych opuścił Horodnicę i powędrował dalej na wschód za dawny kordon graniczny. Osiadł koło miasteczka Emilczyn we wsi Medwedowo, gdzie znajdowało się duże skupisko Polaków. Z otwartymi ramionami i sercami przyjęli chroniących się u nich rodaków.

Wkrótce ku wielkiej radości wiernych, szczególnie tych, którzy od lat nie widzieli, jak wygląda prawdziwy kościół. Msza święta i nabożeństwo, w sali szkolnej urządzono kaplicę z ołtarzem i amboną. Tam - jak wspomina o. Serafin - „*chrzty, śluby, katechizacja dzieci, wszystko to wypełniało czas bez reszty, zwłaszcza, że zaczęliśmy odwiedzać sąsiednie i dalsze wioski: Zaprudę, Balarkę, Niepoznanicze, Siergiejów. Wszędzie budziło się życie. Odprawiano się nabożeństwo, potem odwiedzało chorych, święciło domy. Tak przeszedł sierpień i wrzesień 1943 roku*”.

Dla Polaków, chroniących się przed niebezpieczeństwem grożącym ze strony band, o. Serafin Kaszuba stał się apostołem i duchowym opiekunem. Dzięki jego obecności i pracy kapłańskiej ożywiła się wiara i religijność, a równocześnie pogłębiła się więź narodowa rodaków, oddzielonych od siebie granicą ustaloną po wojnie polsko-radzieckiej w 1921 roku. Wkrótce jednak, pod naporem stałego zagrożenia życia ze strony UPA, o. Serafin musiał się wraz z wiernymi schronić w bardziej bezpieczne miejsce. Tym razem zawędrował do wsi Stara Huta, w pobliżu której znajdował się silny obóz Armii Krajowej. Pod opieką partyzantów Polacy czuli się bezpieczni.

Jednak zimą 1943 roku Armia Krajowa zlikwidowała swój obóz. Jej odejście było gorzkim przeżyciem dla osamotnionej ludności. Zdaniem o. Serafina we wsi Stara Huta zgromadziło się około 8000 Polaków z różnych rozbitych w okolicy parafii. W tej masie umęczonej ludności, mieszkającej w ziemiankach, pozbawionej środków higienicznych oraz żywności zaczęła się szerzyć epidemia tyfusu, na który zachorował również o. Serafin. Na szczęście Opatrzność zachowała go przy życiu dla posługi wiernym. Zdaniem tych, którzy zdołali przeżyć te niezwykle ciężkie chwile, o. Kaszuba „*był to ksiądz-apostoł z poświęceniem. On został tam, bo mówił: żał mi tych ludzi*”. **Istotnie, dla nieludzko masakrowanej katolickiej ludności jedynym pocieszycielem i opiekunem pozostał o. Serafin. Była to heroiczna ofiara poniesiona przez niego z miłości ku ludziom, a płynąca z ukochania Boga, który obdarzył go charyzmatem kapłańskiego serca.**

Wczesną wiosną 1945 roku, kiedy walec wojenny przesunął się na zachód, rozpoczęło się przesiedlenie polskiej ludności z wschodnich ziem Rzeczypospolitej. Do biedy i nędzy, jaką przyniosła wojna, doszło brutalne wydziedziczenie, które - jak na ironię - nazwano „*repatriacją*”. W rzeczywistości była to ekspatriacja – nieubłagalne wykorzenie Polski z tamtych terenów. **Umęczona wojną, zdziesiątkowana przez nacjonalistów ludność Kresów Wschodnich musiała opuszczać swoją ojcowiznę, którą od licznych pokoleń zamieszkiwała.** W większości byli to starcy, kobiety i dzieci, gdyż mężczyźni, albo zginęli w obronie swych rodzin, albo wcześniej zostali aresztowani i wywiezieni na Sybir lub też z wkroczeniem Armii Czerwonej zabrani do wojska. Nie wszyscy jednak chcieli wyjeżdżać. Wiele rozbitych rodzin postanowiło pozostać w oczekiwaniu na połączenie się ze swoimi rozproszonymi w czasie wojny i z przywiązania do ziemi rodzinnej. Obawiano się jednak o nowe niewiadome jutro. O. Serafin - duchowo związany ze swoimi wiernymi - znalazł się w wielkiej rozterce. Wyjechać na zachód, czy pozostać z tymi, którzy wyjechać nie chcieli lub nie mogli? Ziemię wschodnie opuściło duchowieństwo, współbracia zakonnicy (z klasztorów w Ostrogu, Olesku, Drohobyczu, Kutkorzu i Lwowie). Wyjechał jego ojciec z dwoma córkami i wnukami. Wszyscy doradzali, prosili, nalegali nawet, by i on ratował się, korzystając

z prawa „repatriacji”. Postanowił jednak pozostać. Decyzja ta była z jego strony nową heroiczną ofiarą, która zdumiała odjeżdżających.

Jeden ze świadków owych dni tak wspomina: *„Transporty już odchodziły jedne za drugim. Do głowy nam nie przyszło, że o. Kaszuba z nami nie wyjedzie. On już przy pierwszym transporcie powiedział, że choćby tu dwóch Polaków zostało, to ja będę trzeci z nimi. On się poświęcił dla tych ludzi, dla Polaków. Nie chciał ich zostawić. To były tak ciężkie czasy. Tam w dalszym ciągu groziło niebezpieczeństwo utraty życia. To można zaliczyć do szaleństwa Bożego tam pozostać. To było prawdziwe skazanie siebie na ofiarę. Takie było nasze przekonanie, i On w takich strasznych warunkach tam pozostał. To wszystko cośmy mogli tam znieść i przeżyć, zawdzięczamy tej jego postawie”.*

Pozostał, by być duszpasterzem dla tych Polaków, którzy nie opuścili swej ojczystej ziemi. Rozpoczął nowy etap swej ofiary. Powoli na spalonej ziemi zaczynało się budzić nowe życie. Polacy, którzy nie opuścili Wołynia, osiedlali się razem po kilka rodzin w miasteczkach, gdzie było stosunkowo bezpiecznie. O. Serafin osiadł w mieście Równe, gdzie pozostało dość dużo Polaków. Przy opuszczonych kościołach powstawały samorządnie komitety, które troszczyły się o mienie kościelne i zabiegały, by przynajmniej od czasu do czasu przyjeżdżał do nich kapłan, odprawiał Mszę świętą i udzielał sakramentów. **Tym kapłanem był właśnie o. Kaszuba. Dojeżdżał więc do Łucka, Zdołbunowa, Dubna, Sarn, Ostroga, Korca, a także większych skupisk Polaków w niektórych wioskach, nawet poza dawną granicą Polski, gdzie nadal mieszkało wielu katolików.** Oczywiście w większości byli to Polacy świadomi swej narodowości i przynależności do Rzymsko-Katolickiego Kościoła. Duszpasterska praca o. Kaszuby na tak rozległym i zniszczonym obszarze nie była łatwa. Niemal nieustanne podróże oraz przebywanie w terenie wyczerpywały siły i nadwężały nietęgę przecieź zdrowie. O. Serafin nie oszczędzał siebie i nie szukał wygody. Był stale do usług wiernych, którzy z utęsknieniem oczekiwali przybycia duszpasterza. **Zapobiegliwie organizował komitety przykościelne, zachęcał wiernych do trwania w wierze i polskich tradycjach, roztaczał opiekę nad dziećmi i młodzieżą pozbawioną polskich szkół i patriotycznego wychowania.** Wspólne spotkania Polaków z kapłanem - nie tylko podczas nabożeństwa - krzepiły ich ducha, umacniały w wierze i narodowych przekonaniach.

Przeszło dziesięć lat, ze zmiennymi kolejami losu, trwała ta żmudna praca. Z roku na rok narastały nowe trudności. Grożono lub wprost karano członków komitetów kościelnych, nakładano coraz to nowe podatki, a przede wszystkim pilnie śledzono ożywioną działalność duszpasterską o. Kaszuby. Czynnikiem urzędowym nie podobała się osoba tego kapłana, który niestrudzenie pracował nad podtrzymaniem wiary i polskiego ducha. Chciano za wszelką cenę pozbyć się tego duchowego przywódcy Polaków. **Zaczęto rozgłaszać w prasie oszczercze artykuły przeciwko o. Serafinowi. Posłużono się najbardziej niskimi chwytami pomawiając go o niemoralne życie i nadużywanie alkoholu, o oszukiwanie łatwowiernych ludzi i wyludzanie od nich pieniędzy. Nikt z wiernych w to nie wierzył, gdyż wszyscy dobrze znali swego ukochanego duszpasterza i zdawali sobie sprawę z intencji autorów ogłaszanych artykułów.** Dla miejscowych władz administracyjno-politycznych takie artykuły w prasie były potrzebne jako „dowody” przeciwko niewygodnemu kapłanowi. Urzędnik do spraw wyznań w Równem 13 kwietnia 1956 roku wezwał do siebie o. Serafina Kaszubę na rozmowę. Powtórzył mu ogłoszone w prasie zarzuty, a następnie oświadczył, że zostaje pozbawiony wszystkich praw kapłańskich. Wkrótce po tym pozamykano kościoły w Równem i w miejscowościach,

do których dojeżdżał. Dla Polaków ogłoszono dodatkową „repatriację”. Wywierano również nacisk na o. Serafina, by wyjechał do Polski; kuszono go udogodnieniami, byle tylko zechciał usunąć się z tamtego terenu. W tej ponownie trudnej sytuacji - w przekonaniu, że ten utrudzony kapłan zasłużył już na odpoczynek w kraju - prosili go siostra i ojciec, radzili przełożeni, by powrócił do Polski. Jednak ponad wszystkie te prośby i perswazje ważniejsze dlań było niesienie kapłańskiej posługi opuszczonym rodakom. Pozostał z nimi. Była to już trzecia heroiczna ofiara dla chwały Bożej i duchowego pożytku wiernych pozbawionych wszelkiej opieki duszpasterskiej. [O. Hieronim Warachim, Apostoł Kościoła Milczenia O. Serafin Kaszuba, Biały Dunajec – Ostróg 2000 r., s. 62-68]

SÓL ZIEMI CZARNEJ

Jest moim, naszym, wreszcie ojczyzny naszej świętym obowiązkiem, zadbać nie tylko o godne upamiętnienie miejsc, w których spoczywają niewinnie pomordowani, prości, ubodzy ludzie na Wołyniu i na Kresach. Obowiązkiem nas wszystkich jest żywa pamięć o Tych Męczennikach Kościoła Domowego, Tym którzy z miłości do Rzeczypospolitej Polskiej, do ojczystych, rodzinnych zagród, do polskiej rozmodlonej rodziny, oddali swoje życie. Szli ufnie w niedzielny ranek 11 lipca, szli całymi rodzinami na nabożeństwa, lecz nie wiedzieli, że oto dziś te omodlone ściany Ich Świątyń, staną się Im oto, już niebawem Bramą do życia wiecznego.

Inni z kolei nie chcieli opuszczać rodzinnych chat i zasiólków, w których na ścianach wisiały poświęcone krzyże i święte obrazy. Nie chcieli opuszczać chat, w których przeżyli niemal całe życie i w których marzyli, by dożyć też swych ostatnich dni, mówili: „*Ja nic nikomu nie winny, to i mnie ruszać nie będą.*”. Nie chcieli zostawiać chorych i niedołączonych na pastwę losu i głodu, by nie narażać Ich na pewną śmierć w rozszalałej nawałnicy II wojny światowej. Wreszcie nie chcieli zostawiać dorobku całego życia, owoców pracy całych pokoleń, by iść w objęcia nieludzkiej maszyny hitlerowskiej. Jakże często siadali w ogrodzie, bądź w zbożu i rzewnie płakali w obliczu, tak nieludzkich okoliczności z którymi przyszło Im się zmagać. **To właśnie Oni sól ziemi czarnej, ziemi wołyńskiej, żywe zastępy Męczenników Kościoła Domowego, wybieleni we własnej, niewinnej krwi, a dziś przybrani w białe szaty Zmartwychwstałego Baranka, radośni i orędujący za nami u Pana.**

W sprawie pamięci o ofiarach ludobójstwa banderowskiego na Kresach episkopat Polski wciąż milczy, jak zakłęty, pisał na swojej stronie, już 21 kwietnia 2013 r. ks Tadeusz Isakowicz – Zaleski. I dodawał: „*Na szczęście rzymskokatolicki episkopat Ukrainy, kierowany przez arcybiskupa lwowskiego Mieczysława Mokrzyckiego, podjął dwie odważne decyzje. Jedna dotyczy beatyfikacji, druga ustanowienia dnia pamięci.*”.

Sprawa ma związek z rozpoczęciem procesu beatyfikacyjnego ks. Ludwika Wrodarczyka (OMI). W ciekawym ze wszech miar artykule Katolickiej Agencji Informacyjnej (KAI) ze Lwowa czytamy: „*W ramach obchodów 70. rocznicy Tragedii Wołyńskiej Ukraińska Konferencja Biskupia poparła podjęcie starań o rozpoczęcie procesu beatyfikacyjnego ks. Ludwika Wrodarczyka (1907-43) – jednej z ofiar tamtych mordów. Decyzja w tej sprawie zapadła na 41. plenarnym posiedzeniu episkopatu w Berdyczowie w dniach 16-18 kwietnia. Ks. Wrodarczyk był gorliwym duszpasterzem ze Zgromadzenia Oblatów Maryi Niepokalanej (OMI) i został zamordowany w bestialski sposób w grudniu 1943 roku.*

Od kilku lat Instytut Pamięci Narodowej – Oddział w Lublinie, Centrum Ucrainicum Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i Katolickie Stowarzyszenie

„Civitas Christiana” organizują na Ukrainie i w Polsce wystawę „Niedokończone msze wołyńskie. Martyrologium duchowieństwa wołyńskiego, ofiar zbrodni nacjonalistów ukraińskich w czasie II wojny światowej”. W tym roku zostanie ona wystawiona 14 lipca w katedrze łacińskiej w Łucku. Znajdzie się tam również odnalezione w archiwum zdjęcie ks. oblata Ludwika Wrodarczyka.

Urodził się on 25 sierpnia 1907 w Radzionkowie na Górnym Śląsku w wielodzietnej rodzinie górniczej. W sierpniu 1926 rozpoczął nowicjat w Zgromadzeniu Misjonarzy Oblatów Najświętszej Maryi Panny Niepokalanej (OMI). Pierwsze śluby zakonne złożył w Markowicach na Kujawach w 1927. Po studiach w obłackim seminarium duchownym w Obrze przyjął 10 czerwca 1933 święcenia kapłańskie. Pierwszą jego placówką było sanktuarium maryjne w Kodniu nad Bugiem. Od początku lipca 1939 posługiwał na Wołyniu. Mimo trudnych lat wojny, która wkrótce wybuchła, owocnie pracował nie tylko duszpastersko w nowo utworzonej parafii w Okopach. „Odnotowano, że młody zakonnik, znając właściwości lecznicze ziół, potrafił nieść ulgę w chorobach swoim parafianom i mieszkańcom wiosek ukraińskich” – powiedział KAI dr Leon Popek z lubelskiego oddziału IPN. Dodał, że w czasie okupacji niemieckiej nie bał się pomagać Żydom. Instytut Yad Vashem w Jerozolimie nadał kapłanowi pośmiertnie medal „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”.

Zdaniem dr. Popka i dr Marii Dębowskiej z KUL – autorów biogramu o męznym oblacie – w nocy z 6 na 7 grudnia 1943, gdy w obawie przed napadem UPA ludność polska w Okopach uciekła do lasu, ks. Wrodarczyk pozostał w kościele. Tam znaleźli go oprawcy i doprowadzili do ukraińskiej wsi Karpilówka. Według jednego z najbardziej wiarygodnych ustaleń po okrutnych torturach ks. Ludwika: ‘nagiego wyrzucono przed dom na śnieg i z rozrąbanej piersi kat wyrwał mu serce’. Od kilku lat przygotowywany jest proces beatyfikacyjny ks. Wrodarczyka.”.

LUDOBÓJSTWO A KOMPROMIS KOŚCIOŁÓW

Przełomem w powyższym spojrzeniu na sprawę ludobójstwa na Wołyniu i Kresach miała być Deklaracja Kościołów z Polski i Ukrainy z dn. 28 czerwca 2013 r. ws. zbrodni wołyńskiej. Przełomu jednak nie było. Niezbyt dyplomatycznie i dość dosadnie wyraził się w tej trudnej kwestii ks Tadeusz Isakowicz – Zaleski, znakomity znawca tej problematyki i człowiek niezwykle uczciwy, bez dwóch zdań oddany służbie Kościołowi i Polsce. W wywiadzie „Do rzeczy” z 08 lipca 2013 r. ks. Tadeusz, tak zatem napisał o Deklaracji Kościołów z Polski i Ukrainy w sprawie zbrodni wołyńskiej: „[...] nie jest on (dokument – red.) przełomem. Nie ma w nim ani słowa o tym, kto, gdzie i dlaczego mordował. Nie ma też ani słowa o stronach konfliktu czy o samym ludobójstwie. [...] w dokumencie sygnowanym przez biskupów katolickich nie ma ani słowa o 180 duchownych [...], którzy zostali zamordowani podczas tego ludobójstwa. Ich mordowano w barbarzyński sposób, niekiedy przycinając piłami na pół. [...]”.

Także inne opracowania, dłuższe i krótsze wypowiedzi i komentarze w internecie, właściwie każde z nich zawiera ziarenka właśnie w powyższym duchu. Zatem niejako reasymując: **Deklaracja Kościołów Polski i Ukrainy jest daleko idącym kompromisem obu stron w sprawie niezwykle ważnej, w sprawie ludobójstwa dokonanego na Wołyniu i na Kresach.** Po temu jest oczywiste, że wobec tak dwóch bardzo różniących się stanowisk widzenia, kompromis musiał być trudny i bolesny, ale to trzeba jasno nazwać i powiedzieć. To nie Ofiary ludobójstwa są winne dziś tym różnicom i wciąż rodzącym się z tego problemom, ale sprawcy i to nie pan Płk Jan Niewiński oraz inni Kresowianie są winni napięć, powstających na tej

lini stosunków międzynarodowych, ale ci którzy idą w zaparte, odmawiając uznania swej odpowiedzialności za okrutne ludobójstwo. Naturalnie przy całym szacunku dla Kościołów i wypracowanego porozumienia, Kresowianie nie spoczną i będą walczyć do końca. Będą walczyć, aby prawda została powiedziana do końca i aby to właśnie prawda powiedziana z miłością, zwyciężyła w tym sporze, a nie daleko idący kompromis, obliczony na poszukiwanie pokoju, w jakimś sensie „za wszelką cenę”.

Sprawa Deklaracji Kościołów Polski i Ukrainy z czerwca 2013 r. będzie jeszcze wielokrotnie powracać jest bowiem zbyt ważnym dokumentem, by pozostała zapomniana, bądź by miała być przemilczana przez historyków, jak i znawców tematu oraz miłośników Kresów.

Z poważaniem
Sławomir Tomasz Roch